DO N-ru 27 GAZETY ROLNICZEJ.

DODATEK

Nr. 7.

MYŚLIWSKI ILLUSTROWANY.

Z Podlasia.

Obmyślono już niemało środków w celu ochraniania zwierzyny; na charty i ogary nałożono podatki, zwykłemu nawet psu nie wolno chodzić po polu bez kłody, podczas lęgu ptastwa i zajęcy; nie pojmuję jednak, dla czego dotychczas cała prawie bieda spadła na psy tylko. Czyby nie należało także pomyśleć o drugim stokroć może gorszym szkodniku, o — *domowym kocie.*

Każdy mieszkaniec wsi, zwłaszcza tam gdzie kotów nie brakuje, miał zpewnością sposobność sprawdzić przymioty tego drapieżnika. Nie mówię już o gniazdach słowików, jaskółek, pokrzywek i innych ptaszków tak pożytecznych i tak uprzyjemniających nam życie, a których przynajmniej połowa staje się łupem kotów domowych. Żarłoczność kocia nie poprzestaje na tem; koty wychodzą w pole na młode zajączki i takowe tępią niemiłosiernie. Są wypadki, że kot zwinny trzy i cztery zajączki złowi w jednym dniu.

Wartoby zwrócić na to uwagę klubu myśliwskiego. Niech pomyślą nad tem. Czyby nie należało, również jak na psy nakazać kłody, które do pewnego stopnia mogą tu również mieć swoje znaczenie, jak to sam miałem sposobność przekonać się.

Co się tyczy pożytków z kotów, te podług mnie są fikcyjne. Dobra pułapka więcej warta niż dziesięć kotów.

K. Komat.

ANGIELSKIE LEGAWCE SETTERY.

Anglicy posiadający specjalnie do pewnych użytków przeznaczane zwierzęta, jak konie, myśliwskie, wyścigowe, pojazdowe, bydło opasowe, mleczne, robocze i t. d. posiadają również wielorakie rasy psów do wyłącznych posług przeznaczone.

W liczbie legawców wyszczególniają też głównie dwa typy, tak zwane *pointery* o krótkiej sierci, które szczegółowiej określono w 2-gim N-rze dodatku myśliwskiego i tak zwane *settery*, przedstawione tutaj w rysunku.



Angielskie legawce Settery.

Legawce tego rodzaju do takich samych używane posług, czyli do polowania na taką samą zwierzynę jak i pointery, z wejrzenia wyróżniają się najpierw tem, że mają sierć długą i jedwabistą, a kształt i budowę lekkie, pozwalające na rącze przebywanie ogrodzeń i zarośli polnych. Są też znacznie żywsze i zwinniejsze od pointerów, nie męczą się prędko i są prawie niezmordowane. Nogi mają ku tyłowi gęstą i długą obrosłe siercią, co zabezpiecza je od zimna, dla czego znów są wytrwalsze, dają się lepiej użyć na błotach, bagnach i do polowania na błotne ptastwo. Nie są jednak bez ale i mają tę główną wadę, że z trudnością dają się wprawiać czyli tresować, są mało pojętne, zapominające o swych obowiązkach i nie mają pewnego wiatru, dla czego wystawiają często wszelkie drobne ptastwo, jakie na drodze spotkają.

W ogóle o legawcach angielskich da się to powiedzieć, że dwa odrębne typy pointerów i setterów nawzajem się dopełniają, a każde zosobna w przeznaczeniu do właściwych użytków nie dają się innemi lepiej zastąpić.

Wyszczególniające się w tym rodzaju podrasy są: tak zwane Settery lorda Gordon, czarne podpalane i Settery irlandzkie maści ceglatej.

POLOWANIE NA NOSOROŻCA w Kochinchinie.

Xuley-mot, w Sierpniu.

Znużony i z sił opadły po kilkodniowem uciążliwem i natężającem polowaniu na słonia, poświęciłem pół dnia na odpoczynek, którego tak ja jak moi ludzie bardzo potrzebowali.

Poczyniłem już potrzebne przygotowania do opuszczenia nazajutrz mojego stanowiska, gdyż nie spodziewałem się, ażeby w tej okolicy polować można było z pomyślnym skutkiem na słonia, co miałem głównie na celu. Pan W. z Bavia, z dawniejszego mojego stanowiska, zkąd robiłem wycieczki na polowania, zawiadomił mnie, że słonie znajdują się w przeciwnej zupełnie stronie.

Do Bavia miałem 4 dni drogi, gdyż żyliśmy w porze deszczów, które z powodu wylewu rzek i rozmiękczonego gruntu, utrudniały nam bardzo podróż.

Podróżować można było tylko pieszo, a tłomoki nasze, w których mieściło się jedynie to co było najpotrzebniejszem, musiało nieść przynajmniej 10 ludzi na drągach bambusowych. Potrzeba było nadkładać często drogi, albo torować ją sobie przez lasy, i dla tego podróż nasza była powolną i mozolną.

Pół dnia przeszło na przygotowaniach do podróży. Po południu postanowiłem wyjść na małe polowanie, chcąc na pierwsze dnie podróży zaopatrzyć się w mięso tak dla siebie jak i dla ludzi.

W Kochinchinie nazywają małem polowaniem to, kiedy się nie ma do czynienia z słoniem, nosorożcem, tygrysem i t. d. tylko z dzikim wołem, jeleniami, sarnami, pawianami i tym podobnemi.

O godzinie drugiej przybyli przewodnicy i zastali mnie już gotowego do wycieczki. Ponieważ giermek mój był bardzo zmęczony i zasłaniał się chorobą, chciałem z początku wyjść sam w towarzystwie przewodników, z małym sztucerem na ręku (kal. 20). Zmieniłem jednak wkrótce swój zamiar, gdyż w tych okolicach niemożna nigdy być pewnym, czy się nie spotka człowiek z słoniami, które często z daleka przybywają, niszcząc zasiewy i chaty biednych przestraszonych anamistów. Jeden z moich przewodników, nazwiskiem Hyen, dzielny młody anamista, ofiarował się nieść mój wielki sztucer (kal. 8, wagi 18 funt. wyrobu Jana Springera w Wiedniu), wyborną broń, która jednak w tym gorącym klimacie i trudnych przeprawach jest bardzo uciążliwą do noszenia. Zapewnił on mnie także, że w razie walki z słoniami nie odstąpi odemnie, do czego anamici z powodu śmiertelnej obawy przed dzikiemi zwierzętami i religijnego zabobonu, nie łatwo się dają nakłonić, i tylko chyba wtenczas gdy widzą Europejczyka stawiającego czoło słoniowi albo go zabijającego.

Miał on zaufanie do mnie, albo chciał je przynajmniej okazać, gdyż zabiłem już kilku słoniów, a przytem, jak już powiedziałem, nie spodziewaliśmy się wcale ich spotkać.

Do dwóch moich przewodników przyłączył się jeszcze trzeci, młody Moi, który miał niby znać stanowisko, na którem zatrzymują się dzikie woły. Moi należał do napół dzikiego, ale dobrodusznego szczepu koczującego, zamieszkującego szeroki pas Kochinchiny, nad

granicą prowincyi Byn-toin królestwa Anamskiego, a różniącego się zupełnie od Anamistów mową, zwyczajami, religją i powierzchownością ciała. Są to jednak dla myśliwych pożyteczni ludzie, znający dokładnie lasy i stanowiska dzikich zwierząt.

Udaliśmy się na owo miejsce, na którem spodziewałem się znaleść koczowisko dzikich wołów. Po godzinie drogi, ujrzeliśmy nagle świeże ślady nosorożców. Przewodnicy mający w tym względzie, wielką wprawność i doświadczenie, zapewnili mnie na migi i dwoma wyrazami anamickiemi, które zrozumiałem, że trzy Cun-thay t. j. nosorożce, które już dawno w tej okolicy gościły, znajdować się miały niedaleko.

Wprawdzie już kilka razy próbowałem iść za świeżemi śladami nosorożców, musiałem jednak odstąpić od dalszych poszukiwań z powodu niedostępnych zarośli, ciernistych krzewów, bambusów i bagien, w których nosorożcy chętnie się chowają, i tym razem postanowiłem poświęcić najwyżej godzinę czasu na ich poszukiwanie.

Najstarszy, a zatem najdoświadczeńszy z moich przewodników szedł naprzód. Ślad nosorożca wydatniejszym jest od śladu słonia, ale tropienie za nim z powodu gęstych zarośli wymaga wielkiej baczności.

Trzeba jeszcze wiedzieć o tem, że Anamici bardziej się obawiają nosorożca, niż słonia i tygrysa, i dla tego zbijają naumyślnie myśliwego z tropu, jeżeli widzą, że nosorożec znajduje się rzeczywiście w blizkości.

Postępowaliśmy o ile można było szybko i spokojnie naprzód i wyszliśmy na małą łączkę, na której spostrzegłem w wysokiej trawie szerokie czarne zady nosorożców, dążących ku lasowi.

Zatrzymałem się na chwilę dla nabicia broni, zabrałem z sobą kilka ładunków i zalecając przewodnikom jak największą spokojność udałem się szybko w ślad za nosorożcami. Za tropem doszliśmy do małej rzeczki, której woda była jeszcze całkiem zmąconą, gdyż nosorożcy rozkopują chętnie bagniste brzegi swojemi rogami, pluskają się w wodzie i zanurzają w szlamie, dla pozbycia się tym sposobem owadów i pasożytów, gnieżdżących się chętnie w ich pancerzu.

Tutaj o mało niezgubiliśmy śladu, ale ponieważ było nas pięciu, więc łatwo go odszukaliśmy. Nosorożce wyszły z rzeki o 30 kroków dalej, a po zawalanych błotem liściach krzaków poznaliśmy, że są one niedaleko; co też w krótce potwierdziło się przez łamanie się gałęzi i głos tych zwierząt.

Potrzeba było zatem skupić w sobie zimną krew i rozwagę przed rozpoczęciem walki z temi niebezpiecznemi i złośliwemi zwierzętami, o których dosyć się nasłuchałem. Szybko wziąłem do ręki wielki sztucer, który miał mój przewodnik, oddając mu mały, i pobiegłem co tchu w kierunku, z którego głos dochodził.

Niezadługo potem spostrzegłem szeroki zad nosorożca, biegnącego szybko przedemną. Niezważając na kolce i bambusy goniłem za olbrzymem, i byłem już 15 kroków od niego, czekając tylko, ażeby zwierzę obróciło się ku mnie bokiem dla pewniejszego strzału niż z tyłu.

Nad moje spodziewanie, zwierz dosłyszawszy za sobą szelest, obrócił się ku mnie piersią; podniósłszy w górę łeb i strzygąc małemi śpiczastemi uszami, przytem wydając głos podobny do rechtania świni, szukał oczami na wszystkie strony swojego napastnika.

Widząc że wściekły zwierz się zastanowił, przykląkłem, ażeby go lepiej wziąść na cel. Przez chwilę nie mogłem się jednak na strzał odważyć.

Z książek i opisów myśliwskich wiedziałem, że kula nieprzebije pancerza i że każdy strzał jest daremnym, jeżeli się zwierza nie ugodzi pod fałdy utworzone na pancerzu albo też prosto w pysk, który przy napaści otwiera. Przekonałem się jednak w krótce, że i pancerz da się przebić kulą, szczególnie z takiej broni jaką miałem przy sobie, i że zwierz nie otwiera wcale pyska przy napaści na niego. Zwierz naraz mnie zwietrzył, a ryk jaki wydał z siebie, był powodem, że wystrzeliłem;—wielka stalowa kula spiczasta ugrzęzła mu głęboko w piersi. W pierwszej chwili z powodu dymu od prochu, który z wiatrem ciągnął na mnie, nie mogłem nic dojrzeć. Słyszałem jednak stękanie zwierza i łamanie się gałęzi, a odszedłszy kilka kroków nabok, co przy podobnych polowaniach główną jest zasadą ostrożności, widziałem, jak zwierz chwiejącym krokiem szedł ku zaroślom bambusowym, w których byłbym go niezawodnie zgubił, gdyby się do nich był dostał.

Wystrzeliłem powtórnie do niego z tyłu kulą eksplozyjną, po której nie spodziewałem się wielkiego skutku. Zwierz natychmiast obrócił się ku mnie i parksając jak lokomotywa, oraz wyrzucając rogiem ziemię w górę, puścił się w prostym kierunku ku mnie.

Nie miałem chwili do stracenia, podskoczyłem ku najbliższemu drzewu dla łatwiejszego uniknięcia napadu i nabiłem broń. Zwierz przebiegł koło mnie, a ubiegłszy kilka kroków zwrócił się z podwójną wściekłością. Odskoczyłem znowu na bok i wpakowałem mu à bout portant stalową kulę pod prawą fałdę na grzbiecie.

Było to jeszcze mało; zwierz upadł wprawdzie po strzale na ziemię, ale podniósł się znowu szybko, jak gdyby chciał pomścić się na mnie swojej śmierci. Zwrócił się znowu, upadając prawie za każdym krokiem; a kiedy przebiegł za drzewo, przedstawiła się oczom moim straszliwa scena.

Mój boy (służący), który został się z drugimi w tyle, niewiedząc nic o walce i niebezpieczeństwie, przyniósł mi w dobrej myśli więcej nabojów. Zrazu nie spostrzegłem go, gdyż własna obrona skupiła całą moją uwagę na zwierza, i dopiero zobaczyłem go, kiedy leżał przed bestją na ziemi. Zwierz wyrzuciwszy jeszcze raz pęk ziemi w górę, przebiegł przez nieszczęśliwego boya. Wpakowałem mu wtenczas pod fałdę lewego grzbietu kulę eksplozyjną systemu Bertnizet, po której zwierz upadł na ziemię.

Spojrzawszy jeszcze raz na mnie wzrokiem zemsty i wydawszy z siebie straszliwy jęk śmiertelny, przyczem z nozdrzów i z pyska wydobył się dym od rozpękniętej wewnątrz kuli, okropny zwierz skończył nareszcie życie. Była to straszna chwila, która na mnie niezatarte w pamięci wywarła wrażenie.

Po załatwieniu się z zwierzem, spojrzałem na to miejsce, na którem leżał poprzednio mój boy, i nie widząc go tam, odetchnąłem swobodniej. Bez tchu i z sił zupełnie opadły, nie mogąc się wcale ruszyć z miejsca, bez kapelusza na głowie, z sukniami podartemi od kolców, obejrzałem się nareszcie za moimi przewodnikami.

Pomimo wzruszenia i wyczerpania musiałem się rozśmiać, widząc jak na 3 młodych drzewach pochowali się jak małpy moi przewodnicy, wlepiwszy osłupiały wzrok w nosorożca. Dawałem im znak, ażeby zeszli na dół, ale napróżno; jeden z nich, wskazując na nosorożca, dawał mi do zrozumienia na migi, ażebym się pierwszy przekonał, czy jeszcze zwierz żyje, i poszedł do niego z fuzją.

Spełniłem ich żądanie, poszedłem do nosorożca, usiadłem na jego grzbiecie i zapaliłem spokojnie fajkę. To poskutkowało. Przewodnicy zeszli z drzewa, odszukali mi kapelusz, i otoczyli boya, który leżał omdlały z przestrachu pod drzewem. Przebiegający przez niego nosorożec zadrasnął mu tylko kopytami skórę i nic więcej.

Z trudnością potem mogłem nakłonić swoich przewodników do powrotu, tak się zagapili nad strasznym owym zwierzem. Po dwugodzinnej ciężkiej przeprawie powróciliśmy do Xuley-mot, gdzie w jednej chwili cała osada dowiedziawszy się o mojem zwycięztwie zbiegła się na nasze powitanie, wyprawiając mi owacje i znosząc podarunki.

C....y

TRZY

POCIESZNE PRZYGODY MYŚLIWSKIE.

Łaskawy czytelnik uwzględni, że nie podpiszę mego nazwiska teraźniejszego, tylko sobie pożyczę od bardzo dawnego przodka, który jak kroniki piszą miał być szewcem, — a to z tej przyczyny, że znajomy kpiłbyś ze mnie mianowicie z pierwszego przypadku, a dość swego czasu z powodu tej przygody napsocili mi się kochani sąsiedzi; masz się tylko zabawić, — ale nie moim kosztem, — czasy są za ciężkie.

1. Przed kilku laty mieszkałem w Poznańskiem w okolicy gdzie na milę prawie w koło wolno mi było polować, sąsiedzi sami krewni lub uprzejmi towarzysze, zwierzyny było dużo, trzymałem charty, które zarobiły wiele więcej niż kosztowało ich utrzymanie, obliczywszy zające i lisie skóry na pieniądze; liczyć bowiem musiałem się prawie zawsze, bo oprócz r. 1863 i 1859, zawsze było ciężko w gospodarstwie koniec z końcem związać.

Psy lubię, a do chartów miałem zawsze i z tego powodu zamiłowanie, że jednemu z nich winienem ocalenie, będąc bowiem z bratem moim jeszcze małemi dziećmi, bawiliśmy się na łące niedaleko budynków dworskich, piastunka gdzieś sobie poszła, kiedy naraz słyszymy wielki hałas od podwórza i lecącego wprost na nas jakiegoś obcego, rozbestwionego psa, — wtem obudził się także nasz nieodstępny towarzysz chart bardzo silny, śpiący spokojnie obok w trawie,—jednym susem doskoczył naprzeciwko atakującego nas wroga, — schwycił go zręcznie za kark, potrząsł, podług swojego zwyczaju postępowania z nieprzyjaciółmi, razy kilka i rzucił na ziemię trupa. Później okazało się, że pies ten był z sąsiedniej wsi i wściekły, ponieważ pogryzione przez niego inne psy i kilka sztuk bydła w [illegible]kim czasie po-

wściekały się. Naszego przyjaciela i wybawiciela zamknięto dla ostrożności na czas niejaki do przyzwoitego aresztu, ale my dzieciaki nosiliśmy sute pożywienie; po kilku tygodniach został uwolnionym i żył potem długie lata z nami w niezmiennej przyjaźni.

Ale wróćmy do śmiesznej przygody, toż to na tym świecie, wszystko się rozmaicie plecie; polowania z chartami zwyczajnie odbywaliśmy dwa razy w tygodniu, umówiwszy się z sąsiadami, — ale jak przyszły ferye Ś-to Michalskie, to już trzeba było przez całe dwa tygodnie, przynajmniej co drugi dzień polować; w okolicę przyjechało bowiem do domów kilkunastu zapalonych myśliwych, — gimnazyastów i studentów, od lat 12 do 22 i ci nie dali spokoju, przyjeżdzająę zwykle na żrebakach przez siebie dopiero ujeżdzanych i prosząc o polowanie; chartów dawać czyli powierzać im nie było można, bo byliby je zamordowali na jednem polowaniu, a i tak na polowaniu, gdzie wielu i dalszych sąsiadów zjechało się z chartami, młodzież zuchwała rozjechała jednego charta na śmierć a drugiemu nogę złamała. W sąsiedztwie był bardzo duży rzepak, w którym udało nam się owego roku już zaszczuć kilku lisów, tam więc zaczynaliśmy zwykle polowanie, bo wszyscy na lisy byliśmy bardzo zacięci.—Każdy kto lisa pierwszy zobaczył musiał tuż za nim pędzić, ażeby w dużym rzepaku i wśród rowów nie zginął, — porządek, odstępy były zwykle dobrze zachowywane, — póki nie było — *haś go ha!* wtedy szyki się łamały, młodzież jechała przez wszystkie przeszkody; miło było patrzeć na ich dziarskość, ale była i obawa, żeby który karku nie nakręcił. Naraz krzyknięto *haś go ha!* — lis — lis,—i piętnastu mołojców za lisem i za psami przebiegło pole rzepaku, puściło się ścierniskiem; w prawo, w lewo uwijali się, lis się wymyka, psy jakoś nie ochoczo go gonią, całe to myśliwstwo przybiega do folwarku, lis przebiegł przez otwartą stodołę, psy, jezdcy za nim, robotnicy z cepami zastępuią mu, i całe polowanie znów zwraca się ku nam napowrót; kilku nas bowiem starszych stanęło spokojnie na górce i bawiliśmy się tym widokiem; tymczasem lis odsadza się coraz bardziej od psów, jezdcy ubiegłszy już prawie około 3 wiorsty tam, w bok i napowrót, zostali mimo wszelkich wysileń dość daleko, nie było rady, stara gwardya rzuca się w walkę myśliwską, puszcza się szybko naprzeciwko lisowi, który strwożony widokiem a może i zapalczwością nowych wrogów, zwraca się; — psy na znany mój głos, a ich do walki energicznie zachęcający, doganiają biedne zmęczone lisisko, — ale, ale chwytać go nie chcą chociaż biegną tuż obok, — czary, — może owa przeklęta żmijówka-lis, o którym to starzy myśliwi opowiadali, że zadne charty go nie wezmą, — chwytam więc za ultima ratio, to jest rewolwer amerykański celnie na 150 kroków bijący, a który zawsze na polowanie brałem i z którego udało mi się zabić nawet dwa dropie i trzy zające, ale co prawda w kotlinie; dla wygody, bo jest dość duży, miał on kwaterę w bucie, czyli cholewach długich. Strzelam więc w odstępach do owego, dziwnego lisa 6 razy, ale chybiam; wszyscy myśliwi zostali się w tyle z przyczyny zmęczonych lub mniej ścigłych koni; pogoń się toczy w nieskończoność. Kilka wiorst lasów nie było, w końcu tylko zostaje lis, jeden tylko pies i ja, z rewolwerem wystrzelonym i bez ładunków. — Jedyna nadzieja zwycięztwa sforsowanie lisa na śmierć; na konia wytrwałość liczyć mogłem, sam go wychowałem z rasy, która wojny prowadzić potrafi, krew polska zmięszana z pełną krwią angielską, gonitwa więc trwa, zaciętość wśród każdej bitwy, nawet myśliwskiej wzrasta, lis wpada wreszcie na podwórko włościanina, — pies też gdzieś już został, więc ja sam za lisem, — lis, — o dziwo, wpada do sieni, — ja zeskakuję z konia, drzwi szybko zamykam, żeby mi lis nie uciekł; uradowany z zabrania go do niewoli, wołam na zbliżającego się włościanina, chodźcie, — chodźcie prędzej, — mamy lisa! — Znajomy włościanin, dobry sąsiad nie śpieszy się wcale, zbliża się powoli uśmiechając się, nareszcie wita się, — i kiedy ja się go z niecierpliwością pytam, czy czasem w domu nie ma dziury, którąby lis mógł uciec?,—tenże najspokojniej odpowiada: — „Ale proszę pana, to nie lis, tylko moja Wineta, — dobrze, że ją tak panowie nastraszyliście, bo ona zawsze tak się co rano za myszami po polach włóczy.“—

Wineta usłyszawszy swego pana, także już i szczekać zaczęła, i wypuściwszy ją z niewoli, uważaliśmy wielkie podobieństwo do lisa, które prawdopodobniejszem jeszcze czyniło zmoczenie w rzepaku. Niepyszny ze zwycięztwa, pojechałem wprost przez pola do domu, nie czekając na towarzyszów, którzy po niejakim czasie pozjeżdzali się. Chciałem sekret utrzymać, skłamałem, opowiedziałem, że włościaninowi dałem lisa, bo mu przez ozyminę przejechałem. Koledzy uwierzyli. Ale cóż z tego, na tym świecie wszystko wydać się podobno musi, tak i tu się stało, i wkrótce znajomi zapytywali się: *„powiedz tylko, — jak to wam się udało to polowanie z lisem?* cóż było robić, trzeba było się śmiać.

2. *Drugie zdarzenie* niefortunne z lisem było takie: gospodarowałem także na drugiej wsi, która o milę drogi była odległą; codziennie trzeba było tam być, najbliższa droga przez pola konno, charty w jesieni zwykle szły więcej dla towarzystwa; pożyczyłem dwa szlązkie ogarki, mieszanina małych ogarów z taksami, jakich używają w Górnym Szlązku z tej przyczyny, że wolno bardzo gonią, w jamy wchodzą, (jeśli nie zbyt małe) i są przytem bardzo roztropne w pokoju i czujne w podwórzu; po drodze były lisie jamy, ogarki zaczęły węszyć, nareszcie do jednej jamy wchodzi zapalczywie mniejszy, drugi tłoczy się również zapalczywie za nim, chociaż mu to z wielką trudnością przychodziło, bo jama była dość ciasną, ale chcącemu nic nie trudno, co się tą razą na ogarku Alarmie sprawdziło, wcisnął się czyli raczej wgrzebał się; zszedłem z konia, którego potrzymał towarzysz, było nas bowiem dwóch; charty czuwały ciekawie przy jamie; nadstawiamy uszy, słyszymy jakieś ujadanie się, ale człowiek jest czasem jak to mówią w Wielkopolsce, niewiernym Tomaszem; radzimy więc z towarzyszem bardzo rozumnie, jako niby już doświadczeni myśliwi, którzy to w pole wywieść się nie dadzą, — „to pewnie ogarkom tylko ciasno, i Alarm z Valdmanem (takie przezwiska z okolic Zalzbrun przywiezli ze sobą) kłócą się między sobą, jak to zwykle dość często czynić lubili, ot zwyczajnie sobie „une querelle allemande“ ale przecież trudno psy zostawić, jeszcze pożyczone, nużby zginęły, wołamy więc na nich, rozkazujemy im wyjść, w końcu uprzejmie bardzo prosimy, wszystko na nic się nie zdało, jak się kłócą, tak się kłócą.

Idę po rozum do głowy, kładę się na ziemię, sięgam ręką czy czasem którego za nogę nie schwycę i w ten sposób obudwóch nie wyciągnę, mieli bowiem ten dowcipny zwyczaj, że jak się raz pochwycili, to już się nie puścili, rozerwać ich było niepodobna i jedna zimna tylko ich woda łatwo rozrywała. Sięgam więc ręką, zrazu napróżno, ale słucham, szarpią siebie czy kogoś, trudno odgadnąć, ale jakoś niby bardziej ku otworowi to szarpanie i ujadanie się zbliża. Czekam więc, jestem cierpliwy, przecież bodaj nie Goethe powiedział: „cierpliwość to mądrość“, a uczyłem się w niemieckich zakładach naukowych, rolniczych i t. d., więc niby się cóś od Niemców przejęło, mimowoli, złe przecież samo się przyczepia, nie trzeba go szukać.

Nareszcie schwyciłem Alarma za nogę, opiera się mocno, ale mam rękę od lat chłopięcych do szabli wzwyczajoną, więc dość siły wyrobionej, Alarm uległ, wyciągnięty z jamy pokazał nam pysk zakrwawiony srodze; wydziera się, chce do jamy wracać, trzymamy go, niepuszczamy i słuchamy co się z Waldmanem robi?

Waldman doszczekuje, gryzie coś, szarpie w jamie, a więc lis na pewno, nie ma wątpliwości, albo lis broni się jeszcze, albo może Waldman tylko nieszlachetnie nad trupem się pastwi? Probójemy go wyciągnąć, to nam się nie udaje, zresztą, radzimy rozsądnie z towarzyszem, chociażby udało się nareszcie może Waldmana wydostać, to cóż zrobić z lisem; Waldman może lisa tak mocno nie będzie trzymał, żeby ich razem wyciągnąć, szkoda lisa, tandem tedy, jedź kolego do pobliskiej wsi, weź ze stodoły kilku młócących ludzi, niech biorą rydle i przychodzą lisa wykopać. Jak uradzono, tak zrobiono, kolega pojechał, ja zostałem na straży przy jamie, żal mi się zrobiło wyrzekającego, pokaleczonego a tak do boju ochotnego Alarma, puściłem go więc napowrót do jamy, a skoro tylko wszedł, walka zawrzała tam sroga; dziwię się co to znaczy, myślę, myślę i wymyśliłem, i z radością wołam do przybywającego towarzysza: „ha, wiesz, psy taką wojnę tam zażartą prowadzą, że tam przynajmniej dwóch lisów być musi, albo, albo jaźwiec, to zażarta sobaka, i tak im się broni“?

Mój towarzysz był zgodnego, miłego usposobienia, przystał na dwóch lisów, twierdził bowiem, że jaźwiec byłby się przez tak długi czas głębiej wkopał.

Zgodziliśmy się więc na dwóch lisów.

Ochoczo przybiegli kmiotki z rydlami, nasi bowiem włościanie, jak wiadomo, lubią także polowanie; zaczynamy kopać, dokopaliśmy się do jamy, ale chybiliśmy, kopiemy więc w innem miejscu, znów nieszczęśliwie, czyli tylko mylnie, ale niestrudzeni, zachęcani ciągle wrzącą w jamie bitwą, kopiemy dalej przez kilka godzin; nareszcie, nareszcie, wydobywamy w piasku zagrzebanego *jeża*! I to zupełnie zdrowego, psy tylko pyski sobie mocno pokaleczyły.

Mości Panie skonfundowani odjechaliśmy, mocno wyzywając ogarki za ich nieumiejętne rozpoznawanie zwierzyny.

3. *Trzecia przygoda* maluje także omyłkę, ale trochę smutną. Wracając z polowania z chartami, na którem była także młoda i piękna żona sąsiada Pani Józefa R., widząc tuż w kartoflach niedaleko domu wymykającego się zająca, z zapałem poskoczyła na koniu, wołając zając, zając, zając. Wpośpiechu i w braku przyzwyczajenia zapomniawszy powinnego haś go ha! charty poskoczyły, w oka mgnie-

niu zająca złapały, ale cóż za okropny widok dla Pani Józefy! konając miauczał o ratunek prosząc jej własny ulubiony *Kot* przezwiskiem Żmuda.

„*Ależ niech go puszczą*“? zawołała, głosem w którym była litość, żal, gniew, i dla mnie wyrzut, zwracając się lotem błyskawicy do mnie, jako nieszczęśliwego właściciela psów.

Ale próżne były moje rozkazy, niegodziwe psy, nie zająca, ale kota zażarły i za to okrucieństwo na zawsze u Pani Józefy łaskę straciły, a ja na długo.

Z tych trzech przypadków korzystaj czytelniku i kolego myśliwy i nie daj się zwieść ani psu, ani jeżowi, ani kotowi, i zapowiedz twoim psom, żeby żadnego kota faworyta nie zagryzały, bo panie o to mocno się gniewają. Ale nie tylko panie, bo i jeden znajomy, trochę czasem oryginał czyli lepiej dziwak, lat temu przeszło dwadzieścia, przyjechawszy do domu i dowiedziawszy się, że psy *przed tygodniem* zażarły jego ulubionego kota, kazał im dać po 25 batów. Ciekawość, czy psy te wiedziały za co biją? Wtedy jeszcze nie było u nas nic słychać o towarzystwach Opiekujących się zwierzętami.

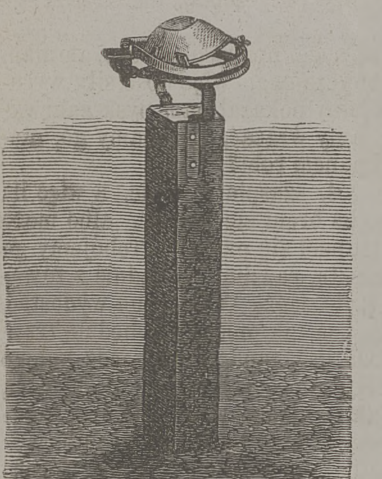
Dodać jeszcze muszę, że panie dowiedziawszy się o tem niefortunnem zdarzeniu pani Józefy, która własnego kota w ferworze myśliwskim zaszczuła, długi czas, rozmaitemi głosami, psocąc się, wołały na Panią Józefę: „*Ależ niech go puszczą*“?

Ale wszystko się zapomina, i te psoty ustały, i o kocie fawory cie niedługo wspominano, i na drugi rok znów polowaliśmy.

Skuba.

ZATRZASK TALERZOWY
na ptastwo drapieżne.

Pomyślny stan drobniejszej zwierzyny jak zajęcy i kuropatw zawisłym jest wielce od wyniszczenia o ile można drapieżnego ptastwa jak sokołów, orłów i t. p. dla czego staraniem myśliwego powinno być stosowanie tym celem wszelkich sposobów wyłapywania w sidła, zatrzaski, żelaza i wielorakie używane dziś z powodzeniem przyrządy, między którymi bardzo praktyczne okazały się na ptastwo drapieżne zatrzaski żelazne talerzowe, okazane tutaj w rysunku, a wyrabiane w fabryce Rud. Weber w Haynau na szlązku pruskim i sprzedawane po 5 marek za sztukę, z opakowaniem.



Zatrzask talerzowy.

Zatrzaski tego rodzaju jak to dokładnie wyobraża figura, ustawia się w polach, w miejscowościach spokojnych i otwartych na słupach w ziemię wkopanych, na jakich wiadomo chętnie siada drapieżne ptastwo, obierając sobie takowe za miejsce spoczynku i obserwacyi. Zatrzask ten jak widzimy zaopatrzony jest w środku jakby miseczka do góry wywróconą, z dnem wystającem ponad żelaza, które przedstawia właśnie ten dogodny punkt spoczynku dla drapieżnego przybysza.

Talerz ten a raczej miseczka drewniana, nie budzi tak dalece podejrzenia i dla tego bez obawy zasiadają na niej jastrzębie, lecz w tej chwili spuszczona sprężyna zawiera dwie obręcze żelazne, które chwytają poniewczasie przestraszonego łupieżcę.

Zatrzask przytwierdza się do słupa za pośrednictwem dwóch uszu żelaznych podtrzymujących żelaza w ten sposób, że odpowiednio do dwóch z każdej strony dziór w uszach, przewierca się słup na wylot, a następnie zakłada się zatyczki drewniane lub żelazne, z których wierzchnia może być stale zakutą i służyć wtedy niejako za oś, niższa zaś wyjmuje się lub zakłada w miarę potrzeby, co pozwala zatrzask skierować na bok, złapanego szkodnika wyjąć i znów po nastawieniu we właściwem położeniu umieścić.

W niedostatnu grubszych słupów jednostajnych, mogą być użyte dwa cieńsze.

ROZMAITOŚCI.

* **Rozporządzenia o polowaniu obowiązujące w guberniach Królestwa Polskiego** wydane 17 Lipca 1871 r. a mające na celu zaoszczędzenie zwierzyny w czasie jej rozmnażania się, przepisują co następuje:

a) Wolno polować na samice: łosie, jelenie i sarny od 1 września do 1 listopada (t. j.' że polowanie na te zwierzęta dozwolonem zostaje tylko w przeciągu miesięcy: września i października).

b) Na zające, głuszce, cietrzewie, jarząbki, kuropatwy i dropie, od dnia 15 Lutego do 1 sierpnia polowanie wzbronione.

c) Na ptastwo przelotne, jako to na żurawie, czaple, kuliki, chruściele, bekasy, dybelty, czajki, kurki wodne, gołębie, przepiórki, drozdy, skowronki, gęsi, kaczki i nurki, od dnia 1 wrześia do 1 lipca polowanie wzbronione:

d) Na dziki, również jak na samce: łosie, jelenie, sarny i kaczory; wreszcie na samce głuszcze, cietrzewie, jarząbki i słomki na ciągu, wolno polować przez rok cały pojedynczo lub z obławą.

e) Zwierzęta i ptaki drapieżne, jako to: niedźwiedzie, wilki, borsuki, lisy, dzikie kozy, rysie, wydry, kuny, łasice, orły, jatrzębie i t. p. wolno zabijać przez rok cały i tępić wszelkiemi środkami.

f) W czasie, w ciągu którego polowanie jest wzbronionem, sprzedaż zwierzyny pod żadnym pozorem nie dozwala się.

g) Za przywóz i handel zwierzyną po miastach i wioskach, w porze do polowania zakazanej, winny ulegnie karze pieniężnej w § 49 oznaczonej, a mianowicie: za pierwszym razem rs. 10, za powtórnym 20, a za trzecim rs. 40; zwierzyna zaś ulegnie konfiskacie i sprzedaży na korzyść zakładów dobroczynnych.

* **Bijografia lwicy.** W sprawozdaniu Królewskiego Tow. zoologicznego w Irlandyi za r. 1875 zamieszczona jest biografia lwicy, rasy południowo-afrykańskiej, która urodziła się 8 września 1859 r. w miejscowym ogrodzie, wychodowała 54 lwiąt, z których 50 dotąd żyje, i zdechła 7-go października 1875 r. Część jej potomstwa została sprzedana za 1,400 funtów. Kiedy lwica mocno zachorowała, szczury zaczęły ją trapić, ogryzając łapy. Zwierzęta drapieżne pozwalają szczurom wchodzić do klatki i ogryzać kości; niewdzięczne stworzenia, korzystając z osłabienia swojej dobrodziejki, zaczęły ją samą ogryzać. Aby wypłoszyć nikczemnych wrogów z klatki chorej lwicy, wpuszczono do niej małego psa łapiącego szczury. Lwica przyjęła nowego gościa groźnem mruczeniem; ale skoro pierwszy szczur został przez niego zaduszony, usposobienia zmieniły się. Lwica zwabiła do siebie pieska, pieściła, obejmowała łapą, a w nocy kładła przy swojej piersi.

* Z wiadomości **o działalności kaługskiego Towarzystwa tępienia szkodliwych zwierząt, i regularnego polowania** okazuje się, pomiędzy innemi, że rozpocząwszy swe czynności 15 Lipca 1875 roku, Towarzystwo zaczęło przysposabiać wszystko do polowania na zwierzęta drapieżne i w tym celu przedsięwzięło środki dla nabycia sfór ogarów. Na początku jesieni Towarzystwo już miało 20 ogarów, przy dwóch myśliwych i trzech koniach. Z powodu późnego sformowania polowania, w sierpniu zrobiono dwie obławy na wilki, a we wrześniu polowania robiono w powiatach Peremyszlskim, Kozielskim i Mieszczowskim od 5 do 22 września włącznie. Około 40 zwierząt drapieżnych padło na tych polowaniach.

Obecnie w Towarzystwie jest 45 członków; dochodu wpłynęło 1,441 rubli, wydano 671 rub. 34 kop.

Kaługskie powiatowe zebranie ziemskie na jednem z ostatnich swych posiedzeń postanowiło udzielać, Towarzystwu w kształcie zapomogi 200 rubli, z zastrzeżeniem, aby głównie na wiosnę zajmowało się polowaniem na szkodliwe zwierzęta w powiecie Kaługskim.

* **Nowy rodzaj małp** odkryto w Afryce środkowej, a okaz ich przesłał w tych czasach bankier aleksandryjski S. Lewi, królowi włoskiemu w upominku. Podług dziennika *Finanza* zwierzę, o którem mowa, liczy obecnie najwięcej trzy miesiące, jest 80 centimetrów wysokie, czarne i nieporośnięte sierścią. a ze wszystkich znanych małp najpodobniejsze do dzikiego człowieka. W niewielkiem kółku widzów małpa ta jest bardzo śmiała i wesoła, w liczniejszem zebraniu zaś traci wesołość i chowa się po kątach. Na zimno bardzo jest drażliwa, lecz gdy potrzeba sama otula się w koc który w tym celu dano jej do klatki.

* **Ceny berlińskie targowe zwierzyny,** z dnia 19 maja Słomka 2,50 m., jarząbek 80j f., głuszec 4—6 m., cietrzew 2,225 m., drop 3—6, bażant 4,00 m., bażant czeski 5,00 m., królik (lapins) 2 do 4 m., jelenia 35 fnt. 22 m.,

W drukarni Jana Noskowskiego, ulica Mazowiecka Nr. 11. — Дозволено Цензурою. Варшава дня 23 Іюня 1876 г.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor JAN ŚWIĘCICKI.